

Nr. 5.

Zajmujące czytanki.

Król puszczy Węgierskiej



Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

THE GREAT WESTERN



ZAJMUJĄCE CZYTANKI — Nr. 5

KRÓL PUSZTY WĘGIERSKIEJ

OPOWIADANIE

Z CZESKIEGO OPRACOWAŁ
ZBIGNIEW KAMIŃSKI



L. 90.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

LP 14d

4433M

T

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNAKOWSKA 225

K-82/5214

9.7

80



S P A D E K.

Cała okolica wiedziała o tem, że Walery Sąddecki, właściciel Kalinówki, był dobrym człowiekiem. Nie było w sąsiedztwie towarzystwa opieki nad małoletnimi, do którego by go nie zapraszano; nie było sądu polubownego, żeby się do niego nie udawano. Pan Walery odmawiać nie umiał, pochlebiała mu też zapewne ta powszechna ufność w jego rozum i prawość, słodząca inne przykrości. A przykrości nie brakło. Przy licznych zajęciach obywatelskich pan Walery zbyt mało miał czasu na dogłębne gospodarstwa własnego. Stąd też ani inwentarz żywy, ani rola nie dawały takich dochodów, jakie przynosiłyby mogły przy należytem staraniu.

— Każdy powinien czuć się obowiązany do poświęcenia części swego czasu i swoich zasobów dla ogólnego dobra — mówiła mu jego małżonka. — Dlaczegoż ty pracujesz za wszystkich?

— To prawda, ale cóż zrobić, jeżeli jeden nie umie, drugi nie może, trzeciemu nie ufają, czwarty jest za leniwy.

Sąddecki, człowiek rozumny, przyznawał żonie słuszność, ale nałóg stał się drugą naturą. Nie umiał odmówić, gdy go ktoś prosił o radę w powikłanych interesach; nie dospał, nie dojadł, a pracował, żeby kochanemu sąsiadowi dogodzić.

Tymczasem długi na majątku rosły i nareszcie stało się widocznem, że trzeba będzie sprzedać rodziną Kalinówkę. Wtedy dopiero Sądecki podziękował współobywatelom za to zaufanie, jakim go obdarzali, rzekł się wszystkich dotychczasowych zajęć honorowych, uporządkował gospodarstwo, jak mógł i, nie dopuszczając do licytacji, uprosił kilku uczciwych sąsiadów, żeby mu pomogli wioskę rozparcelować, to jest rozprzedać włościanom.

Pomoc sąsiedzka okazała się tem potrzebniejsza, że p. Walery otrzymał z Galicji*) wiadomość o jakimś spadku na rzecz jego żony, i trzeba było samemu jechać, aby ten spadek odebrać. Nasunęła się wprawdzie myśl, że temi pieniędzmi można spłacić długi i Kalinówkę zachować, ale Sądecki nie chciał tknąć kapitału żony, bo przestał dowierzać sam sobie.

Układy z włościanami przeciągały się dość długo, Sądecki nie czekał tedy ich końca, lecz wzięwszy nieco pieniędzy, wyjechał do Galicji. Żonę z synkiem zostawił w Kalinówce, aby dopilnowała ostatecznego załatwienia sprzedaży.

Regularnie dwa razy na tydzień szły listy z Kalinówki i do Kalinówki, donoszące z jednej strony o postępie parcelacji, z drugiej zaś o rozmaitych formalnościach, jakie należało załatwić, aby sumę spadkową odebrać. Ale razu pewnego tydzień minął, a pani Sądecka listu od męża nie miała. Zaniepokoiło ją to wielce; przypuszczała bowiem, że tylko ciężka choroba mogła spowodować tak długie milczenie.

Energiczna kobieta, doprowadziwszy nareszcie do skutku sprzedaż wioski, gotowa już była wszystkie ruchomości złożyć u znajomych i pojechać ze swym jedynakiem, Ludwisiem, do męża, gdy niespodzianie otrzymała od niego list, datowany z Pesztu.

*) Galicja — południowa część Polski, należąca przed odzyskaniem niepodległości do Austrii.

Kilkakrotnie przebiegała oczami pismo męża, oblewając je rzewnymi łzami. Nareszcie zawołała synka i kazała mu czytać list głośno.

Chłopiec czytał, co następuje:

„Ukochana moja Elżbieto! Serdeczne dzięki składam Najwyższemu Bogu, że Wam obojgu i mnie służy zdrowie i chęć do pracy, że zajęcia, któremi Cię obarczyłem, zbliżają się szczęśliwie do końca i że ja tu spotkałem dobrych ludzi, którzy mi znaleźli korzystne zajęcie.

Bogaty Węgier, pan Bela Nagy (czytaj Nadi), potrzebował administratora do jednego ze swoich majątków. Spotykałem go we Lwowie kilkakrotnie, podobałem mu się, przemówiono za mną korzystnie i ofiarował mi tę posiadłość. Wprawdzie zamierzałem, jak wiesz, wziąć dzierżawę gdzie w kraju, byle w innej okolicy, żeby mi nadmiar znajomości i stosunków nie przeszkadzał w pracy, ale dobra administracja lepsza, niż licha dzierżawa. Jako administrator dużego majątku mogę rozwinąć całą energję, na lichej dzierżawie zaś byłbym skazany na walkę z ciągłym niedostatkiem. A przecież ciężko mi było powziąć decyzję. Bolesnie jest odrywać się od ziemi rodzinnej i pociągać za sobą dwie najukochańsze istoty, skazywać je na pozbawienie dźwięków tej miłej, drogiej mowy, która je od dzieciństwa otaczała, zmuszać, aby naginały się do nowych stosunków, nowych ludzi, spychać ze stanowiska niezależnego na podrzędne.

Ciężkie wyrzuty sobie czyniłem, że to się stało z mojej winy. I stawiałem sobie pytanie, czy przyjmując, co mi los przynosi, czy też trzymać się pierwotnego zamiaru, powrócić do kraju, szukać dzierżawy — Pan Bóg wie, jakiej? Wszyscy twoi krewni, a także i moi znajomi przedstawiali mi pana Nagy'ego z najlepszej strony, on sam nalegał usilnie; więc po krótkim, choć bardzo przykrem wahaniu pojechałem

z nim do Pesztu. Pan Nagy poznał mnie tam ze swoim pełnomocnikiem i spisaliśmy umowę.

Teraz, najdroższa moja, rozstrzygnij według swojej woli: czy chcesz tu przyjechać do mnie, czy też będziesz wolała pozostać w kraju z Ludwisem i tam dopilnować jego wychowania. Ani radzić, ani prosić Cię o to, albo o tamto, nie śmiem. Serce i rozum są ze sobą w rozterce. Sam sobie tę gorzką chwilę, raczej te gorzkie lata, zgotowałem. Bo lata całe zapewne potrwa moje oddalenie, zanim będę mógł powrócić, aby kości moje w rodzinnej złożyć ziemi.

Tymczasem zgóry dziękuję Ci za wszystko, co zrobisz i co postanowisz, i serdecznymi pocałunkami obсыпаю Ciebie i synka naszego, Ludwisia, którego liściki zawsze mi wielką sprawiają przyjemność. Oczekuję z upragnieniem odpowiedzi“.

W dopisku były podziękowania, pozdrowienia i obietnica napisania do uczynnych sąsiadów, którzy dopomagali pani Sądeckiej w parcelacji, były również podziękowania i pozdrowienia dla służby i dla włościan, którzy zawsze okazywali państwu Sądeckim szczerą życzliwość.

Pani Sądecka nie wahała się ani chwili, nie potrzebowała namysłu, ani rozumowań. Serce jej dyktowało, że dla szczęścia wszystkich trojga należy być razem. Niemniej, gdy przyszło porzucić te drogie kąty kalinowieckiego dworu, z którymi się żyła, opustoszyć je ze sprzętów, które były jakby dopasowane do ścian starego dworku, gdy przyszło jej pożegnać gniazdko, z którym ją tyle niezapomnianych wspomnień wiązało, dotąd tak schludne i miłe, a teraz zamienione jakby na bezduszny szkielec, gdy musiała najrozmaitsze sprzęty, jakby część jej samej stanowiące, posprzedawać, albo porozdawać, czuła, że własną ręką dokonywa na sobie jakby operacji bardzo, bardzo bolesnej.

Czy chociaż przyszłość wynagrodzi jej tę ofiarę, jaką z siebie robiła?

Całe sąsiedztwo poruszyła wieść o tak odległej podróży. Zdumiała się pani Sąddecka, gdy ujrzała na swoim dziedzińcu powozy, bryczki, najtyczanki, i to wprzód, zanim komukolwiek doniosła o przedsięwziętej wyprawie. Domownicy i wieśniacy nazbyt uczyli stratę dobrego państwa, to też mówili o niej wszędzie.

Wielką pociechą było dla zacnej kobiety to, że we wszystkich oczach czytała żal szczerzy i współubolewanie. Tem przykrzejszą było rzeczą rozstawać się z tylu przyjaźnie bijącemi sercami. Ale ugaszczanie sąsiadów nie opóźniło gorączkowo prowadzonych przygotowań do drogi. Zbyt przykre były chwile, wypełniane tem rwaniem nitki, wiążących ją z dotychczasowem ogniskiem, ażeby miała je dobrowolnie przeciągać.

W Y Ś C I G I.

Kto jechał koleją przez kilka dni zrzędu, ten wie, jak podróż taka męczy. Pani Sąddecka, zarówno ze względów oszczędności, jak i dla prędszego połączenia się z mężem, nie stawała nigdzie na czas dłuższy, nie zwiedzała ani pamiątek, zapelniających Kraków, ani wspaniałego Pesztu, lecz przesiadając się z pociągu do pociągu, stanęła w Temeszwarze, gdzie na stacji powitał ją małżonek.

Opisywać ich spotkania nie będziemy.

Dopiero, kiedy we troje puścili się w drogę do wsi, w której zamieszkał Sąddecki, widok rozległych, nieprzejrzanych prawie łąk banackich, zieleniejących bujną i dorodną pszenicą, rozpogodził nieco ich twarze i przyspieszył bicie serca.

We dworze zastali telegram. To mieszkańcy Kalinówki donosili, że zakupili nabożeństwo za ich pomysłność i przesyłali im najgorętsze życzenia. Pań-

stwo Sądeccy niezwłocznie podziękowali im, wysyłając telegram na ręce proboszcza, przez którego pośrednictwo otrzymali życzenia.

Pierwsze tygodnie na nowej siedzibie były nadzwyczaj pracowite. Należało się obeznac z nowymi warunkami, z gospodarstwem, prowadzonem nieco inaczej, niż w Kalinówce, wdrożyć opieszalą nieco służbę do porządku i pilności, łagodnem ale stanowczem słowem i ciągłym osobistym dozorem. Było to jakby odświeżenie i wyregulowanie dobrego, ale już nieco zaśniedziałego zegara.

Dwunastoletni Ludwiś z zapałem pomagał matce. Pani Sądecka tem chętniej uciekała się do jego pomocy, im skwapliwiej pragnęła przebyć ten początkowy okres, żeby następnie oboje z mężem mogli znaleźć codzienną choć parę godzin czasu i poświęcić je kształceniu chłopaka, zanim się tyle nauczy po węgiersku, żeby można było wziąć dlań miejscowego nauczyciela i pod jego kierunkiem przysposobić go do szkół miejscowych.

Tymczasem wszyscy troje uczyli się po węgiersku. Pan Sądecki znał już trochę ten język, w młodych bowiem latach podróżował nieco po Europie i w Peszcie zatrzymała go przez czas dłuższy choroba kolegi, z którym tę wędrowkę odbywał. Teraz więc był w tej nauce przewodnikiem żony i syna.

Nareszcie skończyła się najgorętsza robota, i pan Sądecki rozmyślał, jakiejby rozrywki dostarczyć swojej rodzinie, kiedy doszła go wiadomość, że w Temeszwarze mają się odbyć wyścigi konne. Miała to być zabawa ludowa na wzór tej, jaka się każdego roku odbywała w Peszcie na polu Rakoczego. Uczestnikami jej tedy mieli być czykosi, to jest pasterze koni. Koszta urządzenia wyścigów przyjęli na siebie magnaci węgierscy, od których też wyszła myśl urządzenia ich.

Za miejsce wyścigów posłużył kawał rozległego

stepu, niską tylko trawą porosłego, ogrodzony do-koła, żeby publiczność nie wchodziła tam, gdzie mają przebiegać konie, i nie spowodowała nieszczęśliwego wypadku. Na wysokich żerdziach i pod namiotami powiewały chorągiewki o barwach narodowych. Największy namiot, ozdobiony jedwabnymi draperjami, był przeznaczony dla przedstawicieli miejscowej władzy. Pięknie też była ubrana trybuna dla sędziów, którzy mieli rozstrzygać o zwycięstwie i udzielać najlepszym jeźdźcom nagrody.

Po placu wyścigowym krążyły tymczasem powozy właścicieli ziemskich, po większej części zaprzężone w czwórkę pięknych koni. Między powozami, w których siedziały świetnie strojne panie, snuli się oficerowie-huzarzy w bogatych mundurach, magnaci w węgierskich ubiorach, niektórzy panowie w cywilnej odzieży, a wszyscy na dzielnych koniach. Dokoła ogrodzenia cisnęły się masy widzów; na ławkach, jak i na trybunach pod gołym niebem, tak było pełno, że jabłko rzucone do góry nie doleciałoby do ziemi. Piękna pogoda i zajmujący widok wyścigów zwabiły bogatszych i uboższych z dalekich nawet okolic.

Nad porządkiem czuwali konni pandurzy, czyli policjanci węgierscy, i huzarzy z wydobytymi szablami.

Państwo Sądeccy spożyli obiad w hotelu i udali się na plac wyścigowy, gdzie znaleźli miejsce w pobliżu mety, skąd wszystko mogli widzieć dokładnie.

Ludwiś ciekawie przyglądał się różnobarwnemu tłumowi. Tyle koni, powozów, takich strojów, takiego mnóstwa ludzi, razem zebranych dla wspólnej zabawy, nigdy jeszcze nie widział. Z upragnieniem oczekiwał rozpoczęcia wyścigów.

Nareszcie przyklusował do jednego z najpiękniejszych namiotów niemłody pan na wronym koniu, w wytwornym stroju węgierskim, z piersią ozdobioną orderami; długie wywoskowane wąsy, smagła twarz i oczy iskrzące zwiastowały Madziara czystej krwi. Otaczała go strojna drużyna magnatów i dostojników.

Gdy zasiadł w namiocie, muzyka wojskowa wnet zagrała marsza Rakoczego. Tłum powitał ulubioną melodję oklaskami. Potem pandurzy usunęli tych wszystkich, którzy w powozach, na koniach, albo pieszo znajdowali się na torze wyścigowym, wzywając, aby zajęli miejsca, przeznaczone dla siebie.

— Zaraz się zacznie — rzekł pan Sąddecki, wskazując żonie i synowi gromadkę konnych, wyjeżdżających z obszernego namiotu.

Byli to czykosi, którzy na rozległych pusztach pilnują tabuny koni półdzikich.

Puszta — jest to równina nieprzejrzana, miejscami pokryta piaskiem drobnym i ruchomym tak, że każdy powiew wiatru napęlnia powietrze kłębamii pyłu; gdzie zaś piasek osiadzie, tam marnieje wszelka roślinność. Gdzie niegdzie gromadzą się warstwy piasku tak głębokie, że ludzie, kopiący studnię, dostać się nie mogą do twardego gruntu. Miejscami napotyka się wyschłe jeziorka, których dno jest okryte skorupą saletry lub sody. Bywają wszakże w puszcze i okolice stepowe. Tam budują swoje szałaszy czykosi, doglądający koni, guljasi, pasący bydło rogate, juhasi, pasterze owiec i ganasi, hodujący nierogaciznę.

Wśród całego tego pasterskiego ludu czykosi cieszą się największem poważaniem. Oni też mieli popisować się teraz końmi swemi i swoją zręcznością. Przyjemnie było spojrzeć na ich zuchowate postacie, smukłe, wichrami puszczy wysuszone, twarze ogorzałe od słońca, ogniste, czarne oczy, ciemny, gęsty zarost, długie wąsy woskowane, na ich białe zęby, świadczące o czerstwem zdrowiu, na ich potężne mięśnie, przekonywające o ich niepospolitej sile.

Na tę uroczystość przywdziali strój święteczny: głowę ozdobił niski, okrągły kołpaczek albo czapeczka z miękkiej skóry; wyszywana kamizelka, otwarta na piersiach, odsłaniała białą koszulę z szerokimi, bufiastemi rękawami; bramowana zarzutka, tak zwana

atyla, zapięta pod brodę, stanowiła ozdobę raczej, niż odzież, gdyż jej rękawy i poły były wtył odrzucone, aby w czasie biegu powiewały jak proporzec. Rodzaj białej spódnicy, sięgającej od pasa do kolan, zakrywał wąskie, niebieskie spodnie wyszywane, wpuszczone w wysokie i również wyszywane ciżmy. Każdy z jeźdźców był uzbrojony długim biczem na krótkim biczysku.

Niebawem zebrala się spora gromadka tych czykosów. Wydzielono z niej pewną liczbę i wysunięto naprzód do szeregu. Ci właśnie mieli zacząć gonitwy. Warto było widzieć, jak każdy z nich obrzucał dumnym okiem swych współzawodników, jak pieścił nieznacznie swego wierzchowca, jak niecierpliwie i niespokojnie wyglądał hasła.

Nareszcie zadźwięczał dzwonek. Czykosi odpowiedzieli okrzykiem i strzelaniem z batów, pochylili się nad karkami końskimi, ziemia zadudniła pod kopytami jak grzmoty burzy dalekiej, kurz wzbił się w powietrze i gromadka czykoszów pomknęła.

Hej! Cóż to był za bieg błyskawiczny! Konie wydłużyły się, brzuchami nieledwie dotykały ziemi; chwilami rozlegało się trzaskanie batów, czasem rozdarł powietrze okrzyk wesóły, lub żaloszny, stosownie do tego, czy który z czykosów ocknął się na przedzie, zostawiając towarzyszów za sobą, czy też pozostał wtyle za gromadą. Widzowie z zapartym oddechem, szeroko rozwartymi oczami śledzili szaloną jazdę.

Nie obyło się bez wypadku. To dwa konie wpadły na siebie, to jeden z jeźdźców zleciał, a koń jego popędził dalej, to znów inny czykos obalił się z koniem na ziemię.

Nagle między tłumem, stojącym na krawędzi puszczy, odezwały się pomieszane krzyki. Jeździec jakiś na śnieżnobiałym rumaku przeskoczył zagrodę i, nie zważając na konnych pandurów, którzy usiłowali go zatrzymać, puścił się w pogoń za cwałującymi czykosami. Wnet zrównał się z najgęstszą ich

gromadą, minął ich, wysforował się naprzód, stanął na mecie, machnął czapką kilka razy i roześmiał się, jakby z naigrawaniem; spał znowu konia, przesadził ogrodzenie i, jak wicher, śmignął w niezmierną pusztę.

Widzowie patrzyli nań z przestraczem. Śniada płeć nieznajomego, czarny zarost i czarne, kędzierzawe włosy wskazywały, że pochodzi z tułaczego plemienia Cyganów. Odzież miał pstrą, bogato złotemi i srebrnemi blaszkami naszywaną. Za szerokim pasem tkwiły dwa pistolety i długi kindżał.

Kilku huzarów próbowało zastąpić mu drogę, ale nim zdążyli wykonać ten zamiar, zostawił ich daleko za sobą. Trzej najzawziętsi popędzili za nim.

Czykosi tymczasem ukończyli bieg. Ten z nich, który pierwszy stanął u mety, powitany został jako zwycięzca okrzykami i oklaskami tłumu, chociaż zarówno klaszczący, jak i sam zwycięzca, wiedzieli, że pierwszeństwo zdobył zagadkowy Cygan.

Skąd się wziął i co on zaczął? Ktoś w tłumie wspominał imię, czyli raczej przezwisko, i wnet obleciało ono tłum cały z ust do ust.

— Król pusztę węgierskiej!

— Tak, to był on, Janosz, wódz Cyganów! Daremnie trzej huzarzy trudzą siebie i konie: nie pochwycą go! Poleciał jak djabeł!

I w samej rzeczy trzej huzarzy niezadługo wrócili z niczem. Król pusztę odsadził się od nich tak daleko, że już nawet ich kule nie mogłyby go doścignąć.

Kiedy muzyka uczciła pierwszego zwycięzcę i gdy mu doręczono dar honorowy, pośród widzów szła rozmowa o królu pusztę węgierskiej. Opowiadano sobie o jego czynach trudnych do wiary, o jego niesłychanej, zuchwałej odwadze, przytomności, zręczności i sile.

Z tych rozmów dowiedzieli się państwo Sądecty, że Janosz uprawia rzemiosło batjara (opryszka), że

dotąd ręka sprawiedliwości nie mogła dosięgnąć, choć niejeden z jego towarzyszków już brząka kajdanami.

— Kto wie, czy to tylko próżność i chęć popisu przywiodła go na wyścigi; — zauważył Sądecki — obawiam się, że knuje coś gorszego.

Przyświadczyli mu otaczający, a na ich twarzach odbił się niepokój.

Lecz teraz przyszła kolej na drugi numer programu wyścigowego, ruszyła druga partja i zaraz w początkowym biegu pod jednym z jeźdźców splątał się koń, a jadący spadł tak nieszczęśliwie, że zabił się na miejscu. Nie wstrzymało to innych. Cwałowali prawie równo, jeden tylko czykos wyprzedził znacznie gromadkę i pierwszy dobiegł celu. Nazwisko dobrego konia i zwycięskiego czykosa wpisano do księgi, a dumny magnat, pan rozległych dóbr, w których ów czykos pał konie, zasiadł ze swym sługą do stołu i wypił za jego zdrowie.

Następowały wyścigi z przeszkodami, które jednakże odbyły się bez żadnego wypadku.

Zabawę zakończyły popisy zręczności. Czykosi w pełnym galopie rzucali kamieniami do celu i prawie żaden nie chybił; w cwałie podejmowali z ziemi przedmioty rzucone; wykonywali na koniach ćwiczenia tak śmiało, że patrzących dreszcz przechodził. Niektórzy zeskakiwali z pędzącego konia, nie wstrzymując go, i znowu na niego wskakiwali.

Wyścigi były skończone. Tłumy rozeszły się i rozjechały, lecz wielu czekała niemiła niespodzianka za powrotem do Temeszwaru, gdzie tymczasem złupiono wiele domów.

Czas był dobrze wybrany przez łotrzyków, gdyż wszyscy prawie mieszkańcy znajdowali się na placu wyścigowym, a władze, czuwające nad bezpieczeństwem, zwróciły również swoje baczenie głównie na tłum, przypatrujący się zabawie.

Natychmiastowe śledztwo przekonało, że spraw-

cami tej śmiałej grabieży byli cygańscy lotrzykowie z bandy Janosza, za którym niezwłocznie rozesłano pogoń.

Rozgłos zuchwałego napadu wstrząsnął okolicą. Lecz mieszkańcy trwali w przekonaniu, że i teraz król pusztę węgierskiej wyslizgnie się z zarządzanej na niego obławy. Jakoż pandurzy i huzarzy wrócili, nie pochwycając nikogo.

Państwo Sądecty, przenocowawszy w Temeszwarze, odjechali z tą niepocieszającą pewnością, że szajka cygańska, ośmielona powodzeniem, będzie broić dalej, tylko zapewne przeniesie się w okolice, w których czujność jest jeszcze mniej rozbudzoną.

R A N I O N Y.

Upłynął rok czasu.

Gospodarstwo pod ręką pana Sądectkiego kwitło; należało się spodziewać zbiorów obfitych. Małżonce jego w początkach bardzo się przykrzyło wśród obcych, tak daleko od rodzinnego gniazda, lecz jako kobieta rozsądna umiała się powściągać w rozżaleniu; przytem praca domowa, spokój i czas, ten lekarz, gojący wszelkie rany, złagodziły jej przykre uczucia.

Dużo czasu poświęcała nauce Ludwika, w czem ojciec był jej gorliwym pomocnikiem. Ludwiś szczególnie był rad, kiedy mu ojciec pozwolił pomagać w gospodarstwie rolnem. Było to dlań zachętą do wyuczenia się lekcji, a także miłą nagrodą za pilność, gdy mógł poświęcić czas wolny od zajęć nad książką do oglądania robót w polu albo w gumnie.

Na święta Bożego Narodzenia Ludwiś otrzymał podarunek gwiazdkowy, który uszczęśliwił go bardzo. Ojciec kupił mu ślicznego kucyka. Pieszczotami i łakotkami Ludwiś tak przywiązał do siebie nowego

przyjaciela, iż kucyk rzał na jego widok, lizał mu ręce i chodził za nim jak pies.

Zręczny i odważny chłopiec wkrótce nauczył się dosiadać swego wierzchowca i kierować nim z całą swobodą. Nauczycielem konnej jazdy był mu Kis Laszlo, fornał dworski, który bardzo się przywiązał do całej rodziny nowego administratora, a z końmi umiał się obchodzić jak czykos.

Ludwikowi w dalszych wycieczkach towarzyszył konno ojciec albo Laszlo.

Sądecki miał do jazdy wierzchowej wybornego stępaka, łagodnego, jak dziecko, ale już trochę staroego. Będąc zmuszonym dużo jeździć konno dla doglądania gospodarstwa, potrzebował drugiego konia na zmianę. Wybrał się tedy razu pewnego bryczką z żoną i synem na odległe pastwisko do stadniny, która, spędzając całe lato pod gołym niebem, trochę już zdziczała.

Nieopodal pastwiska bryczka stanęła. Laszlo wyprzął żwawe koniki, pozwolił im odpocząć, podpaść się trochę i sam został przy nich, a państwo Sądeccy z Ludwisiem poszli wolniutko ku stadninie.

Wkrótce stanęli na starodawnym kopcu, czyli kurhanie; przed nimi rozciągało się obszerne błonie, a na niem niewielki tabun pasących się koni. Po niejakię chwili w pobliżu kurhanu przesunął się Laszlo na siwku, odprzeżonym od bryczki. W ręku miał bat, a właściwie postronek około dziesięciu metrów długi. Na jednym końcu postronka była przywiązana kula ołowiana, drugi koniec był umocowany u biczyska.

Laszlo tak się przycisnął do karku końskiego, że ledwo można było rozpoznać, czy kto siedzi na koniu; kierował zwierzęciem, naciskając je nogą, świszcząc, albo mlaszcząc zcicha. Ostrożnie zbliżał się do stadniny, a jednak płochliwe zwierzęta, sponiejakię chwili w pobliżu kurhanu przesunął się jakby przeczuwając, że dla któregoś z nich wybiła

ostatnia godzina swobody, że trzeba będzie zapoznać się z uzdą i uprzężą. Ale nie pomogło pierzchanie. Laszlo zbliżył się znienacka do upatrzonogo kasztanka, zakręcił postronkiem kilka razy dokoła głowy, wyteżył nagle rękę i sznur owinął się koło karku końskiego. Pochwycony koń daremnie usiłował uciekać: Laszlo jechał za nim, a jednocześnie skracał postronek, zmniejszając coraz bardziej odległość od konia. Raz jeszcze szarpnął się kasztanek silnie i padł na ziemię zmęczony.

Wtedy Laszlo zeskoczył ze swego siwka, odwinął pętlę, zaciskającą szyję kasztanka, a gdy koń wstał, już Laszlo siedział mu na grzbiecie. Poczuwszy brzemie niezwykle, koń znowu skoczył, żeby się otrząsnąć, a następnie zaczął pędzić naoslep, jakby oszalały. Ale zręczny jeździec już nie puścił zdobyczy. Nogami ścisnął boki konia, a rękami trzymał się jego grzywy. Po jakimś czasie znikł z oczu widzów, stojących na kurhanie. Wtedy pan Sąddecki zbliżył się do siwka, odprowadził go do bryczki, zaprzął i wszyscy troje wyruszyli do domu; tylko teraz powoził Ludwiś.

W parę godzin później wrócił i Laszlo na kasztanku, już teraz powolnym. Koń miał założoną uzdeczkę i kroczył pod swoim jeźdźcem znużony, a zarazem jakby zawstydzony niepowodzeniem tych wysiłków, jakie czynił, aby się oswobodzić z pod przemoc człowieka.

Tymczasem do Temeszwaru przyjechał pełnomocnik pana Beli Nagy'ego. Pan Sąddecki, otrzymawszy o tem zawiadomienie listowne, pośpieszył zawieźć rachunki z administracji, a także pieniądze, które właśnie miał wyprawić pocztą.

Tegoż dnia Ludwik wyjechał z Laszlem na pusztę. Po drodze gawędzili wesoło, Ludwik opowiadał swemu towarzyszkowi o zeszłorocznych wyścigach w Temeszwarze i wspominał o królu puszczy węgierskiej.

— Dawno już o nim nie słyszałem — rzekł

Laszlo. — Zapewne musiało go nareszcie spotkać to, na co zasłużył.

— Bynajmniej. Dowódca bandy cygańskiej prowadzi dotąd swoje rzemiosło. Czytałem o nim kilka razy w gazecie, którą tatko prenumeruje. Według podanych tam szczegółów, Janosz przebywa głównie w okolicach między Pesztem a Szegedynem i stamtąd przedsięwzięcie wyprawy łupieskie do różnych miejscowości. Niedawno napadł na pocztę i ograbił ją z pieniędzy. Ogłoszono znaczną nagrodę za jego pochwycenie.

— Tej nagrody nikt z pewnością nie otrzyma — twierdził Laszlo. — Wiadomo, że herszt batjarów ze złem trzyma, a złe mu pomaga i ratuje go w każdym niebezpieczeństwie.

— Gdyby nawet tak było, — odrzekł Ludwik — to lepsze jest mocniejsze, niż złe, i prędzej czy później łotr nie uniknie swego losu! Ale patrzaj, Laszlo, tam leży koń.

Czykos popatrzył we wskazanym kierunku.

— Prawda, leży, i zdaje się, że martwy. Czy podjedziemy bliżej?

Ludwik zgodził się i pokłusowali ku zwierzęciu. Koń leżał sztywny, bez ruchu; zbuczony był krwią, ciekącą z rany w boku. Dokoła, na trawie, czerniały plamy krwi skrzepłej. Nieopodal od niego leżał człowiek w odzieży czykosa. Twarz miał śniadą, włosy czarne, krótko przystrzyżone, a wąsy jeżyły się jak szczotka. Lewa nogawka u spodni była obficie zbluzgana krwią.

— Dzieńdobry! — zawołał Laszlo. — Co to wam się stało?

Nieznamy czykos podniósł nieco głowę, popatrzył badawczo na obu jeźdźców, potem rzekł słabym głosem:

— Napadło mnie kilku batjarów, biorąc mnie zapewne za bogacza, a kiedy uciekałem, strzelali za mną. Jedna kula przebiła mi nogę, a koń mój dostał

postrzał w bok. Pomimo to wierne zwierzę bieгло dalej, aż napastnicy stracili nas z oczów. Koniowi krew upływała, zaczął zwalniać biegu, nareszcie padł i dokonał życia. Leżę tu już od rana i ruszyć się nie mogę. Gdybyście byli nie nadjechali, pewniebym zginął.

Twarz Ludwika wyrażała współczucie. Nachylił się ku Laszłowi i coś mu szeptał zcicha.

— Panicz ma dobre serce — chwalił fernal. — Ale czy się pan nie będzie o to gniewał?

— Dlaczegożby się miał gniewać? Gdyby tatko tu był, nie zostawiłby nieboraka bez pomocy, ale zabrałby go do domu i opatrzył.

Laszło przekonany zeskoczył z konia, zaproponował ranionemu, w imieniu Ludwika, żeby pojechał do domu pana administratora, a wreszcie pomógł czykosowi wsiąść na swego konia.

Czykos spojrział wdzięcznie na młodego chłopca i odezwał się cichszym jeszcze, niż poprzednio, głosem:

— Bardzo dziękuję za wasze zaproszenie. Długo wam ciężarem nie będę. Mam ze sobą maść skuteczną, od której rana wprędce mi się zagoi.

Wszyscy trzej udali się ku domowi. Laszło szedł pieszo, rozmawiając już to z czykosem, już z Ludwikiem. Nieznajomy rzucał raz po raz badawcze i jakby trwożliwe spojrzenia na okolicę.

— Śnać obawia się ciągle batjarów! — pomyślał Ludwik.

Ku wieczorowi przybyli do dworu.

Pani Sąddecka chętnie ustąpiła rannemu jeden pokój, w którym kazała mu postać łóżko.

Czykos dał sobie obmyć nogę. Rana nie była głęboka, gdyż kula przeszła powierzchu i zdarła tylko trochę ciała. Osłabiła go głównie utrata krwi. Wydobył ze swej odzieży pudełeczko łubiane z zielonąwą maścią i natarł troskliwie miejsce zranione. Odpocząwszy, zjadł wieczerę i twardo zasnął.

Pan Sądecki miał zabawić w Temeszwarze tylko jeden dzień i wrócić. Ale „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi“, jak powiada przysłowie. Pani Sądecka odebrała z poczty list, w którym ją małżonek zawiadomił, że, będąc proszony przez pełnomocnika o obejrzenie z nim razem w pobliżu Temeszwaru majątku, który pan Bela Nagy chce kupić, musi o kilka dni swoją nieobecność przedłużyć. W dopisku nadmienił, że osławiony król puszczy grasuje obecnie w okolicach Banatu, że urządził ze swoją szajką kilka zuchwałych napadów i że wysłano z Temeszwaru pandurów, aby go schwytali.

— Zapewne i gościa naszego napadli batjarowie z bandy Janosza — odezwała się pani Sądecka, doczytawszy listu do końca.

— I ja tak myślę — odpowiedział Ludwik. — Żeby już raz jako z tym Januszem skończyli! Gotów jeszcze i nasz dwór nawiedzić! Mieszkamy w takim pustkowiu... Zanimby nam kto zdążył przyjść z pomocą, jużby zrobili, coby chcieli.

— Ufajmy, że nam Bóg tej próby oszczędzi — rzekła pani Sądecka, składając ręce.

Ranny czykos już był prawie zdrów; skaleczenie zablizniało się szybko pod ową maścią, osłabienie również mijało, a jednakże nie opuszczał swego poikoiku.

Pani Sądecka odwiedzała go codzień na chwilę; natomiast Ludwik spędzał z nim dużo czasu, a nieznamomy rad z nim gawędził. Czwartego dnia swego pobytu zapytał pani Sądeckiej, kiedy jej mąż powraca.

— Jutro już tu będzie z pewnością, — odpowiedziała — ale nie obawiajcie się, nie robi wam krzywdy. On ma dobre serce i chętnie zatrzyma was w gościnie, dopóki zupełnie sił nie odzyskacie.

Czykos spojrział na nią z wdzięcznością.

— Nigdy państwu nie zapomnę tej dobroci — wyszeptał stłumionym od wzruszenia głosem.

Gdy nazajutrz rano przyniesiono czykosowi śniadanie, izdebka była pusta, po nieznajomym ani śladu. W dodatku strapiony Laszlo zameldował, że ze stajni zginął w nocy młody wierzchowiec pana Sądeckiego.

Związek między obydwoma temi zdarzeniami rzucał się w oczy i Laszlo bez ogródki oświadczył, że czykos ukradł konia.

— Dziś właśnie mój mąż przyjeżdża i takie nieprzyjemne wiadomości czekają go w domu — utyskiwała pani Sądecka.

— Musiał ten czykos mieć przyczyny, że się bał powrotu naszego pana! — wnioskował Kis Laszlo, robiąc sobie w duszy wyrzuty, że się nieco przyczynił do wprowadzenia do domu człowieka podejrzanego.

— Żeby to tylko nie był ktoś z bandy Janoszowej! — zawołał Ludwik.

— I to może być — przytwierdził Laszlo, a panią Sądecką zdjęła niewypowiedziana trwoga o dom i o męża, który był w drodze.

Wieczorem przyjechał pan Sądecki, a wysłuchawszy opowiadania i wypytawszy o powierzchowność czykosa, zawołał:

— To był sam Janosz! Dla niepoznaki, będąc naciśniętym przez pandurów i wojsko, kazał sobie przystrzyc włosy i wąsy, zgolić faworyty i brodę i przebrał się za czykosa. Do Tameszwaru już przyszły raporty z Banatu, donoszące o tem, jak również, że patrol strzelał do niego, ale Janosz umknął konno i piesi żołnierze nie mogli go doścignąć. Więc zapewne to on sam lub może ktoś z jego ludzi znalazł w naszym domu przytułek i tak się nam odwdzieczył!

Niebawem przypuszczenie zmieniło się w pewność. W parę dni później na dziedzińcu przed dworkiem stanął koń, w którym pan Sądecki poznał swego kasztanka. Koń miał na grzbiecie przymocowane puźderko, a w niem piękny pistolet, srebrem wykładany, i list, w którym grubemi literami napisane były następujące wyrazy:

„Król puszty węgierskiej dziękuje za doznaną gościnność i zwraca pożyczonego konia. Lajosowi*) posyła w upominku pistolet. Jest to pamiątka rodzinna — nie pochodzi z żadnej kradzieży“.

— A więc zgadłem! — zawołał pan Sąddecki po przeczytaniu listu. — Panu Bogu należy się od nas gorące dziękczynienie za to, że się wam nic złego nie stało, kiedyście przebywali kilka dni pod jednym dachem z tak niebezpiecznym złoczyńcą.

— Jednakże i ten Cygan, opryszek, ma jeszcze iskrę sumienia i uczuć poczciwych — zauważyła pani Sąddecka. — Pamięta, żeśmy mu wyświadczyli dobrodziejstwo i nie chce odplacać się za nie krzywdą. Cóż mu bronilo zatrzymać sobie konia?

— Prawda, prawda — przyświadczył mąż. — Nawet zbrodniarzom zdarzają się lepsze chwile. Tylko, niestety, trwają one krótko i powrót na drogę uczciwej pracy bardzo jest trudny dla takich, którzy zbyt głęboko zapuścili się na manowce występku.

Ludwik zapytał ojca, czy może sobie zatrzymać pistolet, a pan Sąddecki, po dłuższym namyśle, zezwolił.

HERSZT SAMOZWANIEC.

W Temeszwarze odbywał się wielki jarmark jesienny. Pan Sąddecki pojechał tam z Kisem, aby sprzedać trochę inwentarza i porobić rozmaite sprawunki dla domu i gospodarstwa. O dworek i rodzinę nie miał obawy, gdyż przyjaźń dowódcy batjarów, stwierdzona cennym podarunkiem, ofiarowanym Ludwikowi, była mu poręką bezpieczeństwa od napadu drapieżnych towarzysów Janosza. Przytem nie-

*) Lajos — po węgiersku Ludwik.

liczna służba dworska dawała niejednokrotnie dowody wierności i przywiązania do pocziwych państwa.

Nazajutrz po odejździe pana Sądeckiego zjawilo się na podwórzu dziewczątka cygańskie, które żalśnie prosilo o kawalek chleba. Za dziewczyną przyszedł też mały, obdarty Cyganiuk i zaczął śpiewać ochryplym głosem:

Som czori, czoczori,
Har oda kasztori,
Nane man Adai niko
Czak Mio Dewel baro.

(Jestem chudy, bardzo chudy — jak ten oto patyczek — i nie mam tu nikogo — jeno mego Boga wielkiego).

Na dźwięk tego śpiewu wybiegł Ludwik, a za nim wyszła pani Sądecka. Przez podwórze przechodził parobek, Miszko, rozumiejący trochę po cygańsku.

Zbliżył się do dzieci i zapytał ich po madziarsku, mieszając wyrazy cygańskie.

— Czego tu chcecie?

— Laczto tro diwes (dzieńdobry) — odpowiedziały — głodni jesteśmy bardzo, nie jedliśmy nic od rana.

— Mnie się zdaje, że was posłali na zwiady, żeby nas okraść.

— Rai (pan) niedobrze mówi, na Boga — zaklinał się chłopiec. — My nie jesteśmy ze złodziejskiego rodu. U nas jest każdy mężczyzna kotlarzem, konia-rzem albo muzykantem; każda kobieta jest wielką panią, wróżką. Ale teraz nam się źle wiedzie i musimy żebrać.

— Zapytaj ich, Miszka, jak się nazywają — szepnął Ludwik.

— Ja mam na imię Aniczka, a mój brat — Szczepan. My jesteśmy katolicy. Nasz chrzest odbywał się

w wielkim kościele, a za ojca chrzestnego i matkę chrzestną mieliśmy znakomitych panów i panie.

— Nie chce mi się wierzyć ani jednemu słowu — rzekł Misko. — Najlepiej byłoby wygnać stąd tych obszarpańców.

Jednakże pani Sądecka ulitowała się nad biedotą, dała dzieciom trochę strawy i drobnej monety.

Nastąpiła noc. We dworku wszyscy już spali, tylko samej gospodyni sen się nie imał. We wspomnieniach jej odżyły dawne lata, dawne stosunki sąsiedzkie i rodzinne, o których przy mnóstwie codziennych zajęć rzadko mogła rozmyślać.

Nagle usłyszała silny łoskot. Wyskoczyła z łóżka, ale w jednej chwili została otoczona przez kilku Cyganów z długimi nożami.

— Na pomoc! — krzyknęła przerażona, lecz wnet ją związano, usta zakneblowano galganem i porzucano na ziemi.

Krzyk matki rozbudził Ludwika, którego także spotkał los podobny.

— Dlaczego nikt ze służby nie biegnie, żeby nas bronić? — myślał sobie Ludwik. Ale trudno było być tym, którzy również zaskoczeni zniemacka i powiązani leżeli po kątach.

Rozbójnicza tłuszcza napełniła worki pieniędzmi i cenniejszymi przedmiotami, wyprowadziła ze stajni cztery konie, pomiędzy którymi był też kucyk Ludwika, i już nad ranem wybierała się do drogi. Na domiar przerażenia pani Sądeckiej, Cyganie zabrali także i Ludwika, związanego i zakneblowanego. Chociaż związana i również zakneblowana, jeszcze usiłowała bronić go i wołać, ale tylko śmiech urągliwy odpowiedział na te jej bezowocne wysiłki.

Obladowani zdobyczą opryszki odjechali klusem, nie ścigani przez nikogo, gdyż we dworku zostawili wszystkich mocno powiązanych.

Zatrzymali się dopiero przy samotnej czardzie (karczmie), której właściciel był widocznie w porozu-

mieniu z nimi, gdyż wołał ich po imieniu, a zwracając się do ich wodza, rzekł:

— Geza wita u siebie króla puszczy węgierskiej! Jakże, powiodło się?

Cygan kiwnął głową, zeskoczył z konia i wszedł do izby karczemnej z całą swoją gromadą. Tu wnet zaczęła się pijatyka. Cyganom głód niebardzo dokuczał, gdyż folgowali sobie nieźle we dworku Sądeckich, jeszcze i zapasy z sobą przywieźli. Natomiast rzucili się do trunków.

— Cóż to za chłopiec? — spytał karczmarz, wskazując Ludwika.

Wódz nie odpowiedział, lecz dał rozkaz dwom Cyganom, którzy zaraz zaprowadzili małego jeńca do pustej komórki, opatrzyli, czy dobrze związany, wyszli i drzwi za sobą zamknęli.

Przypomniały się Ludwikowi czytane w różnych czasach książki o małych bohaterach, którzy sobie sami w kłopotach radzili.

— Teraz i na mnie przyszedł czas ciężkiej próby — pomyślał. — Ale co ja pocznę związany i zakneblowany w rękach łotrowskiej zgrai? Co tu robić?

Na to pytanie przyszła mu natychmiast odpowiedź, która ulżyła jego duszy i sercu.

— Przedewszystkiem pomodlić się! To zrobić powinien każdy, choćby był w najgorszem położeniu.

Jakoż odmówił modlitwę gorącą, szczerą, serdeczną, prosząc Najlepszego Ojca o łaskę dla swoich rodziców o wytrwanie i siłę dla siebie, o umocnienie w dobrych przedsięwzięciach, o natchnienie dobre.

Rozejrzał się następnie w komórcę. Uwagę jego zwróciła niewielka skrzynka drewniana, z której wystawał gwóźdź z odłamaną główką. Usiadł przy tej skrzynce, tyłem do niej odwrócony, i zaczął trzeć węzeł, który krępował jego ręce, o gwóźdź. Pracował ciężko, ale najprzykrzejsze było to, że nie mógł widzieć skutków swej roboty, bo ręce miał ztyłu związane.

Od czasu do czasu dochodziły go głośniejsze okrzyki Cyganów w izbie szynkowej.

— POCO oni mnie tu zawleki? Co zamierzają ze mną zrobić? — myślał sobie. — Czy chcą wziąć za mnie okup. Czy chcą mnie przerobić na Cygana? albo może wywieźć gdzie i sprzedać?

Takie wątpliwości snuły się w głowie chłopięcej.

Ludwikowi dokuczał głód i pragnienie. Ku wieczorowi sen go zaczął morzyć. Mimo to nie ustawał w pracy, rzadka pozwalając sobie na chwilę wytchnienia. Trapiła go nieznosnie i sił mu dodawała myśl o zmartwieniu rodziców, którzy nie będą wiedzieli, w jakim kierunku zwrócić swoje poszukiwania.

Nareszcie zmierzch zaczął zapadać. Ludwik słyszał Cyganów przed karczmą, później zatętniały kopyta końskie. Śnać wyjechali. Czy wszyscy? Dlaczego on został? Czy ma tu umrzeć z głodu?

Nareszcie jeszcze jedna wątpliwość: karczmarz witiał herszta cygańskiego, jako króla pusztę węgierskiej. Ów król i ranny czykos, we dworku Sądeckich pielęgnowany, nie byli do siebie podobni. Ha, może trochę... Ale nie, stanowczo byli to dwaj różni ludzie. Któryż z nich był prawdziwym Janoszem?

Ludwik powziął dla byłego gościa swego pewną życzliwość, zwiększoną przez zwrot konia z dołączeniem podarunku dla niego od Janosza. Tylko, gdy chłopiec nabył pewności, że ów czykos był głośnym opryskiem, życzliwość zamieniła się na rodzaj współczucia. Ludwik ubolewał szczerze nad tem, że człowiek, mający popędy szlachetniejsze, zdrów, młody, krzepki — puścił się na złą drogę. Nieraz roił o tem, jakby się to złe dało naprawić, jakby to było szczęśliwie, gdyby Janosz przerobił się na człowieka uczciwego.

— Więc tamten był Janosz prawdziwy. Sam zresztą podpisał się na liście: „Król pusztę węgierskiej“. Prawda, mógł skłamać. Cygan, rozbójnik, cóż go kosztowało kłamstwo?

A może to był tylko jakiś podwładny Janosza? Ale w takim razie czy mógłby zwracać skradzionego konia i jeszcze dołączać kosztowny prezent?

Ha, kto wie, możeby nie mógł, a może i mógł! To zależy od różnych okoliczności.

Ale prawda, był dowód bardziej stanowczy. Ojciec, wróciwszy z Temeszwaru, opowiadał, jak Janosz wygląda, i rysopis ten zgadzał się z powierzchownością czykosa. Więc tamto był Janosz, król puszczy węgierskiej. A czemuż jest ten, mianujący się także królem? Czy Janosz zginął i ma teraz następcę? Czy sobie banda cygańska wybrała króla nowego, a tamtego pozbawiła władzy?

Sciemniało się coraz bardziej, biedny Ludwik poczuł, że ręce jego, mimowolnie o ostry gwóźdź trochę pokaleczone, są wolne. Wnet też zrzucił z twarzy przewiązkę, wyjął z ust gałgan, który go bardzo męczył, utrudniał oddech i o mdłości przyprawiał.

Chłodno mu było, gdyż cały dzień przebył boso i tylko w bieliźnie nocnej. Znalazł jakąś wiszącą na ścianie kurtkę, na którą w innym czasie nie byłby spojrział. Teraz zdjął ją skwapliwie, wdział na siebie, a mimo to trząsał się jak w febrze.

Dotąd szczęście mu sprzyjało. Ma ręce wolne, nogi także rozwiązał, lecz cóż dalej?

Próbował wyjść z komórki, ale drzwi silne i dobrze zamknięte oparły się jego usiłowaniom. Pozostawało jedyne wyjście przez wysokie i szczupłe okienko. Przysunął ku okienku skrzynkę, która mu już raz posłużyła, i miał właśnie wejść na nią, kiedy usłyszał zgrzytnięcie klucza we drzwiach komórki.

Ludwik żywo usiadł na ziemi i ręce założył wtył. Ale zapomniał wziąć nogi pod siebie.

Do komórki wszedł karczmarz ze światłem, stanął przed jeńcem i popatrzył na niego. Wnet zapytał z wyrazem obawy:

— Kto ci zdjął knebel? Kto ci nogi rozpętał?

— Pan Bóg mi do tego dopomógł! — krzyknął

chłopiec, zrywając się na równe nogi i ukazując ręce wolne.

— Cicho! Pan Bóg daleko, a król puszczy blisko! Dwóch jego przyjaciół tu zostało, przed nimi będziesz się tłumaczył. Hej! Szandor! Kasper! bywajcie tu! — zawołał, zwracając się ku drzwiom.

— Gore! gore na dachu! — rozległy się naraz krzyki dwóch ludzi.

Karczmarz wypadł z komórki, zapominając drzwi zamknąć za sobą. Skorzystał z tej chwili Ludwik, wybiegł również, skierował swe kroki ku stajenke, którą zastał otwartą, odwiązał od żłobu konie swego ojca i ulubionego kucyka, wyprowadził je, trzy konie puścił wolno, wskoczył na kucyka i cmoknął na niego.

Zmyślny kucyk bez namysłu ruszył ku domowi, a trzy pozostałe konie popędziły również w tym kierunku. Oddaliwszy się nieco, Ludwik zwrócił głowę za siebie. Karczma gorzała jasnym płomieniem. Co było przyczyną pożaru? Nieostrożność zapewne. O ugaszeniu płonącego budynku drewnianego nie można było myśleć. Ratowano tylko ruchomości.

Niezadługo Ludwik usłyszał tętent galopujących koni. Zwrócił się znowu i ujrzał dwóch Cyganów, ściągających go, co koń wyskoczy.

— Dogonią mnie, czy nie dogonią? — myślał Ludwik. — Prawda, że wierny kucyk pędzi, jak wicher, ale cygańskie konie roślejsze, zbliżają się z każdą chwilą bardziej.

Wtem strzeliła mu do głowy myśl szczęśliwa.

— Cyganom więcej zależy na koniach, niż na mnie!

Skręcił w bok kucyka, dając trzem pozostałym koniom swobodę wyboru drogi.

Nie popędziły za nim, na puszcę szeroką, ale cwałowały dalej do swojej stajni.

Jeden z Cyganów strzelił. Kula świsnęła koło głowy Ludwika, nie robiąc mu żadnej szkody.

Westchnął gorąco do Boga, nogami uderzył kucy-



ka, przynaglając do śpieszniejszego biegu; po niejakiem czasie znowu się obejrzał i już za sobą pogoni nie dostrzegł. Rozumowanie jego było trafne. Cyganom bardziej szło o zwierzęta, niż o chłopca, pogonili tedy za końmi.

Ludwikowi już zaczynało braknąć tchu. Krew tętniła mu w skroniach, siły opuszczały.

Naraz ujrzał płomień, błyskający woddali.

— Ha, znajdę kogoś przecie, co mi dopomoże — pomyślał i zwrócił kuca ku ogniowi.

Nie przyszło mu do głowy, że uniknąwszy jednego niebezpieczeństwa, naraża się może na inne. Wszak u płomienia mogą być także źli ludzie!

Zbliżał się coraz bardziej. Nagle krzyknął przerażony. Poznał, że dokoła ognia rozłożyła się liczna drużyna Cyganów. Zapewne byli to współtowarzysze łupieżców z czardy. Chciał zawrócić kucyka, lecz już było za późno. Kilku Cyganów dosiadło wnet koni, zmęczony kucyk nie mógł ich szybkością biegu prześcignąć. Mały jeździec został otoczony, ściągnięty z konia i pieszo poprowadzony do ognia.

WYSWOBODZENIE.

— Kas adaj dykaw? (kogo ja tu widzę?) — zawołał głos jakby znajomy.

Jeden z Cyganów, dobrze uzbrojony, w pstrej odzieży, wstał od ognia, cisnął fajeczkę, chwycił chłopca za rękę i dodał:

— Hi mri pirani Lajos (to mój miły Ludwik), towarzysze, nie róbcieź mu krzywdy!

I znowu zapytał chłopczyny po cygańsku:

— Har sal, mro iloro? — lecz zaraz pytanie przetłumaczył na węgierski: — Jak się masz, moje serduszko?

Ludwik, zmieszany wypadkami doby ostatniej, nie mógł jeszcze pomiarkować, z kim mówi.

— Cóżto, nie poznajesz rannego czykosa, któregoś odwiózł do domu swego ojca? Czy masz jeszcze mój podarek?

Teraz już i Ludwik się domyślił. Tak, to był niewątpliwie Janosz.

Na żądanie Janosza opowiedział krótko, jakie wypadki zapędziły go na pusztę i jakie mu się nasuwały wątpliwości.

Gdy skończył, wódz batjarów wyciągnął długi sztylet z za pasa, a oczy jego sypały iskry.

— Cóż to za śmiałek rozbija się po dworach w moim imieniu, na mój niby rachunek, a bez mojej wiadomości?

Po całej gromadzie przeszedł szmer oburzenia.

Gdy Janosz umilkł, na stepie rozległy się uderzenia kopyt końskich. Nadjechała konno gromada Cyganów. Na widok pobratymców Cyganie krzyknęli i pozdrowili ich w swoim narzeczu.

— Aha! tu jest nasz zbieg — zawołał przedniejszy z nich, a podjechawszy do Ludwika, chciał go uderzyć batem.

Jednym skokiem znalazł się Janosz koło przybysza i konia jego zatrzymał.

— Czy jest tu ten, co wami dowodzi? — zapytał potężnym głosem, na co mu ów Cygan śmiało odpowiedział:

— Ja jestem ich wódz, ja, król puszczy węgierskiej!

— Łgarzu, oszuście, i ty śmiesz się tak mianować w mojej obecności? Nie znasz mnie, więc wy, towarzysze, poświadczcie — kto ja jestem?

Rykiem burzy wybiegły z gardeł cygańskich słowa:

— Eljen Janosz! Eljen, nasz wódz, król puszczy węgierskiej!

W rękach podniesionych zabłysły długie noże.

Król puszczy — samozwaniec — w milczeniu ponu-

rem wysłuchał tej przemowy i tych okrzyków, a ruchem nieznacznym wydobyl pistolet i strzelił.

Lecz Janosz uchylił się szybko, usłyszawszy cichy szelest odwodzonego kurka, i kula przeleciała ponad nim, nie wyrządzając krzywdy nikomu.

Innej broni herszt-samozwaniec użyć już nie miał czasu, gdyż koń jego, szarpnięty potężną ręką Janosza, padł i ciężarem swoim przytłoczył jeźdźca.

Nowoprzybyła banda, straciwszy dowodcę i widząc znaczną liczebną przewagę drużyny Janosza, nie próbowała ani uciekać, ani walczyć. Nierówność walki była tem oczywistsza, że Janoszowi prawie wszyscy posiadali broń palną, strzelby i pistolety, gdy tamci mieli zaledwie pięć strzelb. Nie pozostało im więc nic innego, jak prosić o zmiłowanie.

— Mam ochotę dać rozkaz, żeby się z wami zabawiono po naszymu, ale daruję wam życie pod warunkiem, że mi wydacie wszystkie wasze łupy, zabrane wczorajszej nocy.

Nie był to rozkaz miły do spełnienia. Rozbójnicy chcieli się targować, zyskać przynajmniej na czasie, ale Janosz kazał wymierzyć do nich strzelby — trzeba było ulec!

Wydobyli zatem z worków bogatą zdobycz i złożyli ją u nóg Janosza.

— Czy to już wszystko? — zapytał król puszy węgierskiej, zwracając oczy naprzemian ku rabusiom upokorzonym i ku Ludwikowi.

— Nie wiem, — odrzekł chłopiec — nie wszystko pamiętam, a leżąc związany, nie mogłem widzieć, co robili.

Obrewidowano ich i znalazło się jeszcze nieco kosztowności. Zabrano im też strzelby i naboje.

— A teraz ruszajcie sobie w świat! — zawołał Janosz.

Tego rozkazu nie potrzebował im dwa razy powtórzać. Gromada bez dowódcy zwróciła konie w stronę stepu i po niejakiem czasie znikła z oczów.

Janosz kazał swojej drużynie wsiadać na konie i zabrać z sobą przedmioty, należące do państwa Sądeckich. Potem pomógł Ludwikowi wsiąść na kucyka, sam także wskoczył na swego wierzchowca i wszyscy pokłusowali w stronę dworku Sądeckich.

Było już blisko ranka, kiedy się zbliżyli do mieszkania. W oknach błysnęło światło.

— Tam nie śpią, co to może być? Czy mój ojciec teraz dopiero powrócił z Temeszwaru?

Janosz skinął tylko głową, wstrzymał całą gromadę i na jego rozkaz przytroczono do kuca Ludwikowego worki ze złupionemi przedmiotami.

— Jedźcie do domu wesoło, miły Lajoszu! — krzyknął wódz batjarów, uścisnął chłopcu rękę, zatoczył koniem, gwizdnął i, zanim się Ludwik opamiętał, już cały oddział jeźdźców popędził na pusztę ze swoim „królem“ na czele.

ŻAŁUJĄCY GRZESZNIK.

— Tyżeś to, mój drogi Ludwisiu! Chłopcze kochany, więc jesteś?

Te okrzyki powitały wchodzącego do pokoju Ludwika. Znalazł tu oboje rodziców, Kisa, Miskę i jeszcze jednego parobka. Wszyscy mężczyźni byli ubrani do drogi i uzbrojeni w strzelby.

Kiedy się radość pierwszego powitania nieco uspokoiła, dowiedział się Ludwik, że ojciec wrócił z Temeszwaru przed kilku godzinami, skróciwszy o jeden dzień swoją nieobecność. Przeraził się niezmiernie, gdy ujrzał swoją małżonkę skrępowaną i zakneblowaną i całą służbę powiazaną, a przerażenie i rozpacz były jeszcze większe, gdy się dowiedział o wprowadzeniu Ludwika.

Nie zdejmując podróznego ubrania, wsiadł na

bryczkę i, co koń wyskoczy, pojechał z Kisem do pobliskiego miasteczka, żeby zatelegrafować do Temeszwaru o zuchwałem przestępstwie i prosić o pomoc, a nie czekając przybycia pandurów, zamierzał sam ze swoją służbą przetrząsnąć okolice i przynajmniej szukać śladów, któreby ułatwiły prowadzenie dalszych poszukiwań.

Tymczasem zaginiony powrócił i przywiózł z sobą prawie wszystkie łupy!

— Jednakże ten Janosz ma dobre serce — zawołał pan Sądecki, gdy Ludwik dokończył swego opowiadania. — Żeby tylko chciał i mógł się poprawić!

W dzień przyprowadzono trzy skradzione konie, które Ludwik wyswobodził, uciekwszy z płonącej czardy. Pasły się spokojnie na zwykłym pastwisku. Coś musiało Cyganom przeszkodzić w pościgu.

Później przyjechali pandurzy i zaczęli robić poszukiwania. Spalona czarda stała pustkami, właściciel jej znikł bez śladu. Wśród stepu znaleziono wygasłe ognisko, a przy niem trupa fałszywego króla pusztzy ze zgniecioną piersią. Własny koń jego w upadku o śmierć go przyprowadził.

Bandy cygańskie znowu szczęśliwie wyśliznęły się poszukującym.

Upłynął miesiąc, a o królu cygańskim nie było wieści.

Pewnego ranka stanął przed dworkiem znajomy Ludwikowi rumak, a na nim — skrwawiony jeździec.

Sądecki wybiegł z synem i w ich oczach jeździec osunął się na ziemię. Zaledwie zdążyli podtrzymać go, aby się nie potłukł, Ludwik ze wzruszeniem poznał w nim Janosza.

Król pusztzy węgierskiej na widok jego uśmiechnął się boleśnie i rzekł słabym głosem:

— Tedy widzimy się znowu... ale na krótko... zbliża się już koniec mego życia.

Podniósł rękę do piersi, z której buchnęła krew. Zdjęty współczuciem, pan Sądecki kazał przenieść

Janosza na łóżko, a pani Sąddecka obmyła i opatrzyła mu głęboką ranę. Woda z winem orzeźwiła nieco Cygana.

Opowiedział, że w puszcze kumańskiej zaskoczył go niespodziewanie duży oddział pandurów; że jego drużyna pierzchła po krótkim oporze, gdy i jego samego kula dosięgła; że wierni towarzysze uprowadzili go na koniu, a maść gojąca, którą sobie ranę nacierał, łagodziła cierpienia. Gdy później utracił przytomność, koń ocalił go przed pościgiem nawet bez jego wiedzy.

Pani Sąddecka zwróciła myśl umierającego ku Bogu.

Janosz żałował gorzko życia, źle użytego, a ostatnie słowa jego były:

— Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu!

Ku południu nadjechało kilku pandurów, poszukujących zbiegłego „króla puszczy węgierskiej“. Pan Sąddecki zaprowadził ich do martwych już zwłok.

Z drużyny rozpierzchłej część poległa, wielu pochwymano, i ci wycierpieli karę, wymierzoną przez sądy; niewielu zdołało umknąć z kraju.

Państwo Sądeccy nieraz chodzili do kępy krzaków, pod którą kryły się szczątki Janosza, i modlili się za jego duszę.

Kiedy po latach pracy i oszczędności pan Sąddecki odzyskał tyle mienia, że mógł nareszcie powrócić do rodzinnego kraju, nie zapomniał i wtenczas o Janoszu.

Ludwika posłał na wydział prawny, zalecając mu zastanawiać się usilnie nad pytaniem: Co trzeba zrobić, żeby ludzie zbiegani, lecz w gruncie dobrzy, nie znajdowali zbyt ciężkich przeszkód, gdy chcą powrócić na zasną drogę.



ZAJMUJĄCE CZYTANKI

To doskonała a lania lektura dla dzieci od lat 8—12. Są to krótkie powieści, z których każda stanowi zamkniętą całość.

To przygody, podróże, egzotyka, wynalazki, sporty, życie obywatelskie, szkolne, domowe i wszystkie sprawy, radości i troski wieku dziecięcego.

SERJA II

- | | |
|--|---|
| 51. St. Łoś. Czarny Wojtek
52. J. Powalski. W zaklętym zamku.
53. M. Buyno-Arctowa. Syn policjanta
54. L. Chociński. Złamany bagnet
55. J. Brzastek. Związek siedmiu
56. J. M. Taylor. Zamek nad jeziorem | 57. Wł. Juszkiewicz. Żółty przyjaciel
58. Hełm-Pirgowa. O honor sztabaka
59. Z. Jastrzębski. Powietrzny szlak
60. M. Buyno-Arctowa. Zemsta
61. St. Monar. Wilcza jama
62. A. Kwiecińska. Kolegą z sutereny |
|--|---|

SERJA III

- | | |
|---|--|
| 63. J. M. Taylor. Błękitny żagiel.
64. J. M. Burdecka. Planetaida 2100
65. Z. Jastrzębski. Straznicy morza
66. M. Buyno-Arctowa. W cudzych piórkach
67. St. Łoś. Przygoda w Serra do Mar
68. H. Duninówna. Przyjaciółki. | 69. Wł. Papłowski. Stefek Błyskawica
70. Wł. Juszkiewicz. o łasce losu
71. St. Monar. Ogród białego smoka
72. M. Arct jr. Gadające źródła
73. St. Łoś. Księżniczka Mafalda
74. A. Barkowski. W śnieżnym więzieniu |
|---|--|

ZAJMUJĄCE CZYTANKI PRZYRODNICZE

Są dziełem wielkiego znawcy i miłośnika zwierząt, utalentowanego pisarza angielskiego, Ernesta Setona Thompsona. Jego obrazki z życia zwierząt oparte są na bezpośredniej obserwacji i głębokim zrozumieniu duszy zwierzęcia i należą bezsprzecznie do najpiękniejszych utworów, jakie w tej dziedzinie napisano.

- | | |
|---|--|
| 1. Czerwonokryzek — dzieje pewnego bażanta gr. 50
2. Jach — dzieje małego niedźwiedzia gr. 50
3. Wully — pies owczarski gr. 30
4. Śpiewak uliczny — przygody wróbla Grzmotka gr. 50
5. Kółka śmieciarka gr. 60
6. Matka Cyranka gr. 40 | 7. Wilk z Winnipeg gr. 50
8. Chłopiec i ryś gr. 50
9. Czynyk-Cap — dzieje psy gr. 50
10. Strzępouch — dzieje pewnego zająca gr. 60
11. Matka Liszka gr. 50
12. Srebrnoplamik gr. 40 |
|---|--|

Komplet 12 tomików tylko zł. 5.—